

BEM

POWIESC HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

22

— Kościółską znam, choć się z nią nie zadają i znam, kiedy w szynku, u Czarnieckiego, za ladą sługowała. Tam ci zeszedł się z nią Kościółski, Czarnieckiego kamrat i namówił ją do siebie, do kawiarni, tej samej co dziś „Dziurki“. Kościółski był żonaty i dietny. Lecz nicpotem do rozumu mu się dobrała i na gospodynię wyszła. A gdy ślubna niewiasta na śmierć się zalamentowała Kościółskiemu, tedy dziad, bo Kościółski dziadem już był, ożenił się z ową Fruzią! I na własne nie-szczęście. Jakże się bo sakramentem wzmocniła, tak starego za łeb, pasierbów na cztery wiatry i dalej się z gachami wodziła. A osobliwie z jednym Cydzikiem, co znów ponoś był żonaty i dietny. Cydzikowa, która do męża, choć ladaco był, wielką miała pasyę, za kolana Kościółską brała, żeby nie bałamuciła jej chłopca — gdzie zaś! Sucha Jewa upatrzyła sobie coś do rudzielca a rudzielec do szczapy z łbem natarmoszonym i Cydzik do Kościółskiej się ukwaterował. Ale od kawiarni był zdala, swoje czynił a co różnie ludzie mówią, przy Lubowidzkim się kręcił, z Makrotem był w komitywie. Wiadomo, kiedy się raz i drugi w „Dziurce“ cywile z wojskowymi pochlastali i tak, że cały odwach z Saskiego dziedzińca na rozejm się zleciał, Kościółskiej włos z głowy nie spadł, choć za byle chryję odbierano konsens i choć Honoratka z przeciwka do samego Gendre'a trafiła, aby się pozbyć sasiadki. Sła by wypominać! Dopiero kiedy rewolucja się uczyniła a osobliwie, kiedy to lud był na różnyh zawzięty, Cydzik raptem zginął. I będzie temu trzy miesiące, znów się pokazał, ale już niby cały dziedzic, szlachcic i patriot ognisty, Prawdziwie, do stu ochotnika ze sobą przywiódł, własnym sumptem umundurowanie sprawił i do komitywy nie wiadomo z kim doszedł. Z Kościółską zadaje się piecz, ale chyłkiem, tak że go w kawiarni ani widać! Kościółska także na ambit wzięła. Tydzień w tydzień chorągiewami stroi wejście do kawiarni, ofiary na zbrojenia składa, cztery izby na lazaret wypuściła a co do księdza Puławskiego, który na Starem mieście okrutne ma posłuchanie, zgoła jak opętana biega.

Dziurbacki na te wywody zafrasował się szczerze. Wszystko razem tyle dlań warte było, co nic. Madejowa jeszcze rozpowiadała o bezceństwach Kościółskiej, napomykała, że służy u niej stryjeczna Kaśka i że przez nią pani Madejowa się dowiedzieć może niejednego, bo do dziewczyny stroi koperczaki niejaki Dragoni, famulus oficerski a teraz onego Cydzika zaufaniec, pijaczyna i pokraka. Lecz wachmistrz na to wszystko coraz bardziej kwaśniał, coraz mniej baczył. Aż Madejowa postrzegła.

— Waspanowi nie w smak moje powiadanie?

— A no, bo nie widzę, kędy zwierza chwycić...

— Mówię panu Pietrzowi...

— Lada co, bez urazy.

— Bo nie wiem, coby trza! Skrzywdził jego-mości, więc masz go na półmisku. Na ratusz iść i pedzieć tak i tak, to i to mi uczynił, świadków podać, skrypt, czyli jak, sprezentować... Tam ci go przycisną i do trybunału. Chcesz, to mogę woźnego... sprawiedliwie tyle mnie obchodzi, co zeszlortoczny śnieg — ale dla pana Pietrza...

— Nie poradzi.

Baba ją dociekać. Profos zbywał ją półsłówkami, ale tem panią Madejową tak rozciekawiał, że wprost naparła się.

Dziurbacki wahał się, ociągał, wreszcie w otwarte, szczerze nań patrzące oblicze pani Madejowej zerknął i bąknął piąte przez dziesiąte o zniknięciu dwoistej swej siostrzanki, nie wspomniawszy ani słowa o papierach i audytorze.

Właścicielka garkuchni aż się po bokach klasnęła. — A to ci dopieroj oczajdusza, piekielnik! Żeby dziś dzieciaka...

— Pewności nie ma, mospanie!

— Jakto nie ma! Co mi pan Pietrzus mówi! Wszystkiego się spodziej, żeby przed kuczkami, czy jak tam, myślałabym, że małeństwo żydom do krwi utoczenia na macę sprzedał.

— I tam, pani Madejowa!

— Uczciwie! Niechże sobie pan Pietrzus pest-kówki do mnie... wedle pępka, na zmoenie od cholery, wysmienita! Na Piekarskiej troje dzisiaj wymiotło! Tedy o czym to! — Aha! — Jako żywo,

do maców chrześcijańskiej trzeba im krwi, tedy dzieciaka zdybają i w beczkę, nabijaną gwoździami! — Na zdrowie waspańskie! Jam nie trunkowa, lecz z panem Pietrzem, eh, to bogdaj w piekło! — Na Cydzika patrzy!

Dziurbacki cmoknął wódki.

— Ludzkie wymysły!

— Niechże — ale niech sobie pan Pietrz zakonuje, że juści on na miłosierdzie waszej siostrzanki nie wymanił.

— Mogła i sama się zawieruszyć.

— Ani myśli! Dałabym se tę rękę uciąć. A ileż miała?

— Nieco lepiej niż w trzynastym roku!

— Jezus Marya! I przystojnej urody!?

— Kwiatusek moja pani a przylepny! Slepami mrugnie i co chcieć z jejmością uczyni.

Pani Madejowej oczy wilgocią zasły.

— Już pan Pietrz nie rozpowiada, bo mnie za-łość rozbierze do cna! A jak na nią?

— Antoszka!

— Akurat byłoby. We dwoje pewnie, że raźniej, bo jedno drugiemu folguje, kiedy trza. Lecz, gdzie dwoje osiedzie, tam do trzeciego im pilno. Sprawiedliwie, a nie zawsze, co się czleku majaczy. Nie wymawiający mój nieboszczyk krzepki był a nie zdarzyło się... to jest i owszem...

Wtem miejscu pani Madejowa zachłysnęła się czegoś, lecz nie tracąc rezonu, zakonkludowała.

— Cóż, byłoby z Antoszką żwawsze gospodarstwo.

— Byłoby! — mruknął Dziurbacki, któremu domysły Madejowej o niegodziwościach Cydzika kamieniem zaległy.

— Choć by pod ziemią a musimy ją znaleźć! Tak i... i... co jeszcze powiem, że dopóki niebo-żątka nie wykryjemy, o ślubie naszym ani mowy!

— Prawdziwie! — przyznał wachmistrz.

— Tak, panie Pietrzus! — dodała ciszej pani Madejowa. — Żebyś nie wiem jak, najpierw ją musimy. Inaczej spokoju bym nie miała. Juści nie żadnam dzierlatka, jeno niewiasta stateczna, tedy ci całusa bronić nie mogą, ale co i tyła...

Obcasy pani Madejowej zakolatały niepewnie w skrzynię. Dziurbacki spojrzął z podełba na babę, lecz tuż przylapały go błyszczące źrenice.

— Uch!... A pan Pietrz to zaraz jak smok zgłodniał! Jużby się naprzykrzał?... He, co?!

— Niby ja!? — stęknął profos, do reszty zbity z pantaluku swywołnem poszturchiwaniem.

— A któż?! Król Salomon!? Pilno jegomości! Żeby całe miasto przyszło zbobrować, nie zmitręzę. Myślisz, że radam zwlekać! No, no, moja głowa. Nie bój się, siostrzanka nam podrukuje. Będziem ją mieli, będziem! Tymczasem stancję obok się wyporządzi. Uch! Jak się toto patrzy! Przeciem nie podskok, co gdzie nie ma czego, tam się stracha! Toć nawet pasuje! Niech że Pietrzus oskomy próżnej sobie nie czyni, bom i ja nie żadna drzewiana...

Tu pani Madejowa kiwnęła się melancholijnie a usta jej przypięły się chciwie do twarzy Dziurbackiego.

— Dla Boga, mospanie! Toć układ...

Baba mlasnęła ze smakiem.

— Uch, jaki toto smok!

XI.

Jeszcze Warszawa nie zdołała rozczmychać się z utrudzenia po fecie w Saskim Ogrodzie, jeszcze brzmiały jej w uszach zapamiętałe wiwaty, gdy już wieść niepojęta, niesłychana poraziła ją, wstrząsnęła do głębi.

General Krukowiecki, generał-gubernator stolicy, najstarszy rangą niemal z pośród generalicy, po naczelnym wodzu pierwszy wojska polskiego dygnitarz, człek gorącego serca, jeden z tych, co na zawołanie rewolucji, bez wahania, za nią się oświadczył, ulubieniec ludu, gwardyi narodowej faworyt — odprawiony, usunięty, aresztowany!

Jakiem prawem, jaką mocą, kto i za co ważył się na gwałt taki, na tak niegodziwy zamach!

I zakotłowało się w pisemkach. Kawiarnie „Honoratka“ i „Dziurka“ zawrzały od sejmikowego zgiełku. Towarzystwo patriotyczne huknęło na alarm.

Ostatniego sprawiedliwego pogrążono za to, że im prawdę do oczu powiadał, że niedołęstwo im wytykał, że sprawy bronił a nie rządzącej klikki, nie kunktatorów, nie gubicieli!

Krukowiecki im brzdził, on trzymał na mundsztuku refencyjne ambicje księcia Czartoryskiego, on przeszkadzał knowaniom dyplomatycznym, on wymawiał Skrzyneckiemu prowadzenie matakczyn cichych z Dybiczem.

Krukowiecki był jedynym, co po imieniu rzeczy nazywał, nie pozwalając tumanić obywateli, nie pozwalając fałszować klęsk na wygrane bitwy, nie pozwalając narodu oszukiwać.

Krukowiecki był tym ostatnim generałem, któremu Towarzystwo patriotyczne mogło ufać, że dźwignie zagiew rewolucji, że porwie lud i nakoniec jego panowanie ustanowi.

I tego właśnie męża, tego bojownika zbyto, pohańbiono, odebrano mu szpadę, otoczono strażami, niby zdrajcę ojczyzny.

Nie dość było im Szembeka zmarnować goryczą, nie dość intrygami pogrzyć Umińskiego, Weysenhoffa, wydać na śmierć niechybną Kickiego i Kamińskiego, Prądyńskiego do bezczynności zmusić, jeszcze i ten ostatni z Hektorów polskiej Troi im zawadzał.

Lecz nietylko Towarzystwo Patriotyczne i dwie pokrewne mu nastrojem kawiarnie te groźne wywody snuły. Brało w nich udział całe miasto prawie. I postowie i oficerowie i szlachta i lud cichy.

Tu i ówdzie stronnicy wodza siły zbrojnej tłomaczyli, że generał Skrzynecki nie mógł inaczej z Krukowieckim uczynić, bo ten za daleko warcholstwo i krnąbrność swoją posunął, że właśnie przyczyną wszelkiego niepowodzenia oręza polskiego był brak subordynacji, samowola generałów, że Skrzynecki zbyt potężne zamierzenia rozpoczyna, aby je wydać na łaskę fantazyi wręcz wrogiemu mu generał-gubernatorowi.

Obocznie członkowie Rządu Narodowego, dygnitarze z namiestnikowego pałacu rozkładali ręce na znak przymusu, któremu ulegli. Skrzynecki żądał, domagał się, nastawał, jednego z nich musieliśmy poświęcić...

I kupił się na placach i ulicach lud na wiece przygodne i układali płomienne mowy i ksiądz Puławski i Czyński i Grodecki i Mochnacki. I tłumy gawiedzi szły wiwatować pod obstawiony strażami pałac Krukowieckiego. A srogi patriotów w „Dziurce“ obradujących naczelnik, imć pan Korytko, dwakroć zapalczywiej śmierci Czartoryskiego się domagał.

Nadomiar nie wiadomo skąd wszczęły się raptem głuche wieści o wykryciu jakiegoś spisku wojskowego, co miał knuć zgubę rewolucji, o niechybnym samym wodza układach z feldmarszałkiem, o zdradzie haniebnej, którą gotowali najprzedniejsi, a których nazwiska podawano sobie półszeptem.

Wódz naczelny tymczasem w obozie na Pradze gorączkową rozwinął czynność. Lustrował pułki, wertował raporty, podpisywał nominacje, ślecał nad mapami, odbywał z Lubieńskim i Lewińskim narady, chwili nie spoczął. Aż sztab wodza naczelnego zdumiał się, aż adjutanci luzakami nie mogli nastarczyć. Ordynans za ordynansem — pędził ich do Zamościa, do Modlina, za Kuflew, pod Kock, nad Wieprz, do Jankowskiego, do Ramorina, od Skarżyńskiego do Milberga, z dywizji do dywizji, od pułku do pułku. Adjutanci rwali, co koń wyskoczy, parli na przełaj, ocierając się o kule placówek i podjazdów wołyńskich, wracali zziązani, potem i kurzem okryci, wracali lotem ptaka i wracali witani marssem brwi, grymasem zniecierpliwienia.

Najwyrozumialszy z naczelników, wódz, miłowany przez swych satelitów, troszczący się o nich zawsze, łaskawy a wytworny w każdym odezwaniu, przeistoczył się nagle w mrukiwego, porywczego generał-służbistę, w opryskliwego żołdaka burczymuchę, w bezwzględny gwałtownika.

Co osobliwsze, że sam Skrzynecki czuł, rozumiał swego zachowania niewłaściwość, rozumiał, iż wszyscy otaczający go czynili więcej, niż mogli, że kurier do Zamościa w godzinę nie będzie z powrotem, że Jankowski stoi pod Wielkim-Dębem, a nie obok na kwaterze, że Turno odpowiedział mu na to, o co sam go zapytywał, a przecież nie był w stanie włączyć sobą, panować nad namiętnościami, nad zewem, który mu łomotał pod czaszką: „działaj — dokonaj“.

I postanowienie czynu żarło Skrzyneckiego, paliło. Tylko czyn świetny, znakomity czyn, wiekopomny, zdolen go jest ocalić, zdolen wyrwać sieciom nań zastawianym, kłam zadać oszczerstwu. Bez tego czynu po raz drugi już nie podola rządowym chmyzom. Sponiewierają go, wyprą się, oddadzą na pastwę motłochu Honoratki. Bez tego czynu nie utrzyma dłużej wojska!

Chwili, chwili nie ma do stracenia. Musi runąć, jak piorun, na nieprzyjaciela, żeby, żeby bodaj przyszło samemu poledz. Z bagnetem w rękę pójdzie! Wydrze pięściami zwycięstwo albo Termopile zgotuje ojczyźnie. Wymawiają mu, że dotąd liczył siły Dybicza, że wahał się decydującą rozegrać bitwę, więc będą mieli, czego chcieli. Na jedną kartę rzuci wszystko. Cha, bo i podobno ta jedna karta może wyrokować o łagodności punktów ro-